

Afirmacja zasłużonych

(Dokończenie ze strony 3)

Właściwie zastanawiam się o co mi chodzi. Przecież mam co czytać, mam co jeść, mam gdzie pracować, mam wszystko czego potrzeba, aby godnie żyć. Jest i kultura. Ba, nawet sztuka. Sztuka, która dziś w większości oferuje konfekcyjny kicz podlany sosem dorabiania filozofii albo brzydotę, brzydotę za miliony, wyrafinowaną i czystą, której ponoć jeszcze nie było. Ta przedziwna polaryzacja oferty oszałamia i zdecydowanie... poszerza horyzont. Jest bosko. Powinniśmy się cieszyć, że artysta odwiedził wszystkie okoliczne śmietniki i skleił tak fenomenalną rzeźbę z puszek po zimnym Lechu, że aż nam dech zaparło...

wysłem na podwórze,
spojrzałem ku górze,
dech zatkało mi w piersi,
to oni, skowronki, przylecieli pierwsi

Taką to mamy oto kulturę wysoką i sztukę arcy-arcy-oryginalną w tym cudownym świecie higieny i tolerancji, w świecie, który nam się podoba jak rzadko który ze światów, świecie postępu i nadziei, świecie praw człowieka i człowieka, którego... coraz mniej.

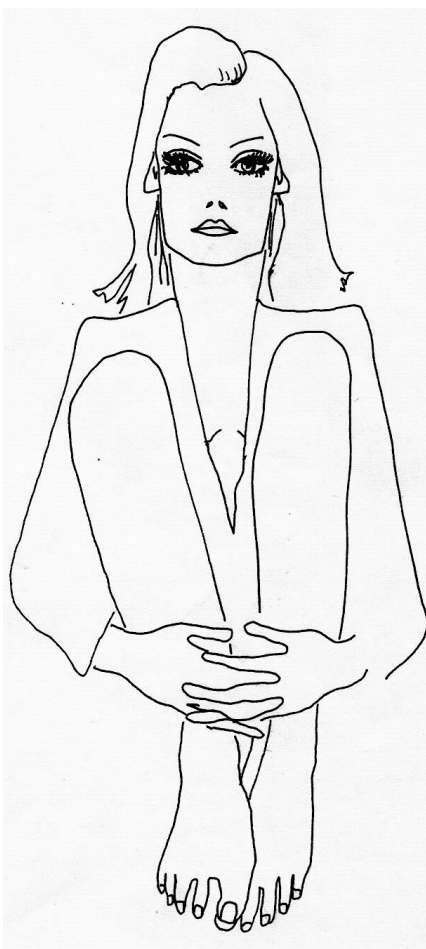
Zatem nie narzekam. Przyjmuję zasłużonych dla kultury z całej dobrodziejstwem inwentarza – żywego i martwego, w pełnej krasie i w całej rozciągłości. Oczywiście martwota polega na subtelnej śmierci nadziei, że mogłoby być inaczej, ale już dziś wiem na pewno: to niemożliwe. Możliwe jest jedynie to, że Ty i ja – wciąż mamy wybór – wciąż mamy szansę czytać to, co chcemy, emigrować wewnątrz do swoich światów, ciepłych i wypracowanych, w swoich gronach, bliskich i przyjaciół, gdzie jeszcze można o wszystkim mówić i myśleć, gdzie można się jeszcze uczciwie śmiać i wyznawać te wymślane zlikwidowane światy, które przeminęły.

Na koniec przytoczę słowa, które usłyszałem wczoraj, na wieczorze autorskim od pisarza, poety, profesora medycyny w Krakowie. Otóż ów twórca podzielił się z nami (widzami i słuchaczami) refleksją, że jako akademicki wykładowca zauważa u swoich studentów tendencję do coraz mniejszej zdolności używania słów, to jest opisanie prostych zależności, co się widzi, jak się widzi i co z tego wynika. Nie użył słowa, że... przecież dorastają i kończą swoje kształcenie kolejni pół-analfabeci, którzy już za moment utworzą nową polską elitę intelektualną. To przerażające i przecież wiemy z czego wynika. Ryba, a dalej to już wiecie, choć pewnie znów zostaną posądzeni o defetyzm, zatem przepraszam wszystkich już na zapas.

Jak wspominałem wielokrotnie: jest cudoownie, a będzie jeszcze lepiej. Chce się żyć

Mamy wiosnę, mamy co czytać, niechaj się martwią ci, co nie mają ☺.

Andrzej Walter



Rys. Barbara Medajska

Elżbieta Musiał

Fragmenty poematu „Gry do-słowne”

Ekointymny ogród. Utwór nad utwory.
Czasem tłusty przepych mezofauny. Barok i odchudzenie linii
naprzemieenne, ale częścię schłodne oversize z efektem ombre i
tendencją wzrostową. Wszystkie elementy łączy – co wyrazić trzeba
w końcu – miłość do ziemi. Jak w kołowrotku wokół niej się kręci.
Agrolaboratorium w obłędzie. Pędzi do zatury. Nawet starodawna czara
biodra. I kret dobrze schowany, i dziesięć jeży martwych
leży do recyklingu gotowych. Co za wizja higieny. W akcie tworzenia
chroniczne chwile zagłady. Żrenicą kosmosu ledwo namacalne. Nic
dodać, nic ująć, precyzyjna manufaktura. W białych

rekawiczkach. Genialnie rozwiązana sprawa life-odpadów.

Musi być motyw, potem mgnienie kończące się jednym. Początki, dziewczęca bezdeń otwarta na kondygnacje.

Stoję na uskoku, może krawędzi, puszcza łódkę z gazety na głębokie

(woda plum, plum).

Zanim w nią wsiądę, powinnam zdrzeć głowę do góry, bo nie daj Boże z mansardy Picasso rzuci na mnie urok.

Rodin też może *Pocałunkiem*. Nieszczęście gotowe.

Samosterowne słowa, hologram.

Zepchnięta w otchłań egzystencja.

Samo-strawna. Może nawet samo-zbawienna. No cóż, żadna poznana

wersja estetyki nie ma tu zastosowania. Już przedzej

prehistoria. Łódka podsiąka wilgocią. Wciąż płynę. Za mną aleja Szopena.

Naprzeciw wychodzi węzeł księżycowy. Rahu.

Czy mam mówić dalej? Mam?

A zatem tłumaczę: jest głowa demona, musi być i ogon, nazwano go Ketu. Dwie strony medalu

(raz, dwa, trzy wychodź ty).

Łódka tonie. Wszystko gna do mety.

Metaforyka, metafizyka, metonika, tektonika

i zaćmienie słońca.

Żaden klucz... proszę mi wierzyć.

(Rzecz dzieje się bez halucynogennych grzybów tra la la).

Dziennik intymny

Czy o takiej intymności szepcze moja łąka? Jej korzenie, mój Boże, to już przecież ziemia. Dół

i ziarna zsypane z klepsydry. Lecz ty

o bezwstydy jakichś dwójga splecionych dotykami.

Nieśmiały jak załazek.

A we mnie wylękość. Oddech mojej łąki jak dusza na ramieniu.

Nie wiem, czy on bardziej zimny, czy bardziej samotny.

Czułeś kiedyś taki na plecach? Nie widzisz, a mrowi.

Igłą przeszywa od stóp po błękit. Mozolnie uczyły nas tego

kolejne miłości. A teraz stoisz wobec siebie. Sam. Ze sobą.

Do krwi, do kości zażyłość duchowa.

Taki sakrament jak z drugim ciałem.

Gdy dzieli tylko ziarno piasku, które wpadło nie przez przypadek pomiędzy.

